

Wielki inkwizytor dusz ludzkich

napisał
Henryk Barański

Zaden z pisarzy rosyjskich nie budził tyle namiętnych sporów, nie wywoływał tak za cieżkiej dookola siebie dyskusji, co Fiodor Dostojewski (1821—1881), którego 75-lecie śmierci obchodzi obecnie cały świat postępowy. Bo też w żadnym pisarzu nie dostrzegamy tylu sprzeczności, takiego ogromu męki wewnętrznej, co w tym klasyku literatury rosyjskiej. Dostojewski — to pisarz psycholog, badacz głębin duszy ludzkiej, docieklawy analityk jej najsubtelniejszych drgnień, a przede wszystkim piewca niedoli najniższych warstw społecznych połowy XIX wieku w carskiej Rosji.

Problem ludzi poniżonych, którym poświęcił pierwszą swą wnikliwą pracę („Biedni ludzie” — 1846) nurtował w nim dogłębnie przez całe życie. Znakomity krytyk rosyjski — Bieliński, gdy ukazała się książka młodego Dostojewskiego, pisał: „Cześć i chwała młodemu poecie, którego muza umiłowala ludzi suterena i poddaszy, i mówi o nich mieszkaniem złocistych pałaców: patrzcie, to także ludzie, wasi bracia!”

Z niezwykłym mistrzostwem słowa, z niesłychaną wyrazistością plastyki, Dostojewski przedstawił życie miejskich nizin, beznadziejność ich nędzy, wyzysk, bezprawie i bezbronność wobec klasy panującej. W utworach swoich ze zdumieniem wajacą siłą dramatyczną dał wyraz kryzysowi burżuazyjnego świata; ujawnił sprzeczności bogactwa i nędzy, prawa i gwałtu.

Zdawałoby się, że pisarz tak głęboko humanistyczny, znajdzie się w pierwszych szeregach działaczy rewolucyjnych współczesnego mu pokolenia, że będzie walczył niezlomnie o ideały społeczne. W pewnym okresie jego życia tak było istotnie. Są to czasy, gdy Dostojewski w 1847 roku wszedł do tajnej organizacji utopijnych socjalistów Pietraszewskiego w Petersburgu, zwolenników radykalnych reform społecznych. Rozbicie tej organizacji w 1849 roku i wyrok śmierci na Dostojewskiego i innych, zamieniony na zesłanie do katorgi na 4 lata, przeobraziły wewnętrznie wielkiego pisarza. Zamiast wezwać do walki rewolucyjnej, zaczął nawoływać do chrześcijańskiej pokory i przebaczenia. Wpadł w mistycyzm.

W przeciwieństwie do demokratów rewolucyjnych, Dostojewski widział przyszłość Rosji nie w rewolucji i socjalizmie, lecz w idealistycznych poglądach wyrzeczenia się walki ze złem i poddania woli przeznaczenia. Te reakcyjne myśli rozwinął później Lew Tołstoj, głosząc swoją znaną teorię „o niesprzeciwianiu się złu”.

Dostojewski, widząc w ludziach podstawę życia narodowego, głosił potrzebę zbliżenia inteligencji do „gruntu” („początek”), tj. do ludu, lecz poszedł w swej teorii za nauką rosyjskich reakcyjnych słowianofilów połowy XIX wieku, przypisując narodowi rosyjskiemu rzekomy charakter pokory i religijności.

Tylko w pierwszym utwo-

rze, wspomnianych „Biednych ludziach”, pisarz pod wpływem krytyki Bielińskiego stanął na gruncie realizmu krytycznego i demokracji. Rozdwojenie wewnętrzne nastąpiło szybko, co uwydatniło się już w dalszych utworach, a zwłaszcza w „Sobowótórze” („Dwojnik”), gdzie bohater utworu, Golatkin, wypowiada wsteczne, pesymistyczne myśli o odwiecznej dwoistości natury ludzkiej, w której obok pozytywnych, moralnych dążeń istnieje samolubstwo i skłonność do złego.

Niewątpliwym wpływem na sprzeczności, w których szamał się i wikłał Dostojewski, wywarło jego życie. Syn lekarza wojskowego odbywał obce jego usposobieniu studia inżynierskie, lecz szybko zrezygnował z pracy w Instytucie Inżynierskim i oddał się całkowicie pracy literackiej. Dziwak w życiu codziennym, stroniący od ludzi, z zarodkami choroby (epilepsji), która dręczyła go całe życie, cierpiał bardzo w osamotnieniu i cierpienie podniósł do potęgi tajemniczej siły, która trawi człowieka. Dostojewski opracował nawet całą teorię cierpienia, nakreślił rozmaite jej formy. W powieści „Gracze” autor mówi: „Człowiek jest z natury despotą i lubi być dręczycielem”, a w „Notatkach z Podziemia” dochodzi do twierdzenia, że „człowiek do namiętności lubi własne cierpienie. Cierpienie tworzy miłość i wiarę”. Ta mistyczna filozofia pisarza zaciążyła na całej jego twórczości. W powieściach jego mamy wiele okrucieństwa i niemniej litości, i niemniej wymierzającego miłosierdzia. Autor jest bezlitosnym inkwizytorem swoich bohaterów. Krytyka powie o nim później, że Dostojewski był największym psychopatologiem literatury światowej. Jego przenikliwość w ujmowaniu nienormalnych stanów psychicznych zadziwiała lekarzy i prawników.

Po powrocie z katorgi pisarz zaczął coraz bardziej odchodzić od literatury demokratycznej. W „Zapiskach z martwego domu” (1861—1862) Dostojewski mistrzowsko nakreślił piekło katorgi. W książce tej nie zginęła jeszcze wiara w człowieka. Dalsza powieść „Zbrodnia i kara” jest osądem typy działacza socjalistycznego, uznającego konieczność użycia przemocy dla ustanowienia sprawiedliwości na ziemi. Powieść ta wymierzona jest wprost przeciwko ideom demokratycznym — rewolucyjnym. W latach 1868—1871 we Włoszech i Dreźnie, dokąd Dostojewski uciekł przed licznymi wierzycielami, powstały dwa jego dzieła: „Idiota” i „Biesy”. Po powrocie zaś do kraju napisał główną powieść „Bracia Karamazow”.

*) Psycholog zajmujący się ludźmi nienormalnymi psychicznie.

w której opisuje zwyrodniałą rodzinę szlachecką, oderwaną od ludu i błądzącą w pustce ideowej.

Jeżeli postępową ludzkość czerpie obecnie 75-lecie śmierci Dostojewskiego, to dlatego, że ten pisarz, młotany wiecznie sprzecznościami w utworach swoich i w sobie samym, do końca życia był obrońcą poniżonych. Gorące współczucie Dostojewskiego dla ludzi biednych pozwoliło mu, dzięki sile wielkiego talentu dać genialne obrazy okrutnych sprzeczności społecznych w Rosji w połowie XIX wieku, mimo wstecznych koncepcji, które przyswiecały ich założeniom.

W salach „Zachęty” w Warszawie otwarta została wystawa rzeźby i malarstwa Xawerego Dunikowskiego i jego uczniów. Na zdjęciu: Mikołaj Rej, rzeźba X. Dunikowskiego. CAF — fot. St. Dąbrowiecki

Henryk Jantos

Rys. L. Kapczyński

PRZYWIDZENIA

Sceneria wcale nie była atrakcyjna. Zwykły śmierdzący dymem z lokomotywy przedział kolejowy. I hałas. Jakby ktoś uporczywie obijał o siebie stare puszki po konserwach. Kilku znużonych podróżnych, paczki w siatkowych bagażnikach, brudne okno, popielniczka, z której sypały się ogryzki i krótkie niedopałki bezustnikowych papierosów, emaliowane tabliczki z napisami „Nie wychylać się”, „Nie pluć”, „Nie przewozić materiałów łatwopalnych, gryzących itp.”. Taka sobie żywa i martwa natura kolejowa.

Siedziałem między ścianą wagonu a mocno zaspanym żołnierzem, który od obowiązku dźwigania jego głowy na moim ramieniu zwalniał mnie tylko wtedy, gdy po cięgu zatrzymywał się z piśkiem na stacji. Żołnierz zrywał się, rozglądał uważnie po przedziale, zrećnie poprawiał pas, szybko mrugał zapuchniętymi powiekami i pytał zdenerwowany: Co to jest?

Po przeciwnej stronie ławki szeroko rozparty drzemał jeszcze jeden podróżny. Ten nie reagował na żadne bodźce zewnętrzne. Spał mocno. Miał na sobie czarne spodnie, wojskowe buty z błyszczącymi gwóźdźkami na żelówkach, spoczywające bezwładnie między moimi stopami. Czarna sukienka marynarka była poplamiona w okolicy obu kłap. W narożniku przedziału wisiał czarny płaszcz, w którego fałdach miarowo kołysała się głowa właściciela.

Człowiek miał niemłodą twarz, jednak czerstwą; przy czym gdyby ją dokładnie umył na pewno straciłaby wiele ze swego brązowego odcienia. Małe, ciemne wąsiki pod dosyć kształtnym nosem. Broda robiła wrażenie ogródka wiosną, kiedy z ziemi wydzierają się do słońca młode, ostre kiełki.

Kim jest ten człowiek? Ech — pomyślałem — chodzi się po ulicach, jeździ tramwajami i pociągami, mi ja setki ludzi i tak niewiele można o nich powiedzieć. Ładna, zgrabna, elegancka, kulawy, piegowata, łysy — oto krótka informacja, jaką wzrok przekazuje do centrali, do mózgu.

Kim on może być? Kolejarz — strzeliłem na chybił — trafił! Kolejarz i chyba maszynista. Jeździł biedak całą noc, teraz drzemie w drodze do domu. I widzę dudniącą, czarną lokomotywę wytrzeszczającą w ciemności żółte ślepie reflektorów.

Wgryza się w czarny tunel nocy, z którego wyprysnę do piero z pierwszymi oznakami świtu. Pasażerowie w długiej gasyńcy wagonów śpią, grają w karty, jedzą jabłka i kanapki, myślą o celu podróży — o domu, żonie, dzieciach, znajomych, do których jadą, instytucji, do której udają się z delegacją służbową w kieszeni. Jadą spokojnie. Ale nie myślą o maszyniście, którego twarz bieleje w okienku parowozu.

Spojrzałem z sympatią na mego „maszynistę-bohatera”. Spał. Ostrożnie, żeby nie tracił jego wyciągniętych nóg, poruszyłem się na ławce.

Może on nie jest maszynistą? Może robotnikiem z nocnej zmiany? I widzę zagrożoną w mroku halę fabryczną. Rozmieszczone na całej jej długości lampy rzucają rześiste snopy światła na osadzone w betonie maszyny. W zakamarkach hali — szaro. Za oknami — ciższa. A tu stukot, jazgot, szum. „Mój” robotnik pochylony przy jednej z maszyn. Trze dłońmi zmęczone oczy. Aha! Spać się chce! Z okien fabryki widać ścianę budynku. W oknach jeszcze gdzieś niegdzie światło. O! Zgasło na piętrze. Teraz na parterze. Jeszcze jedno i jeszcze. Ludzie kładą się spać. Odpoczywają. W jednym z okien jakby zdmuchnięty — zgasił jaskrawy żyrandol. Za chwilę zapłonęła czerwienią nocna lampka. Ktoś pewnie czyta w łóżku gazetę, albo książkę. Mija kilkanaście minut. Nie ma już czerwonego światła. „On” myśli pewnie o miłym zagłębieniu w poduszce na własnym łóżku.

Spojrzałem na niego. Spał. Nie! Poruszył się. Podciągnął nogi, ościężał uniósł powieki. Oczy miał zaczerwienione, wyblakłe. Biedny, widocznie słabe oświetlenie musi być w tej jego hali fabrycznej. Wyzwolił głowę z fałdów płaszcza i napotkawszy mój zatroskany wzrok — uśmiechnął się.

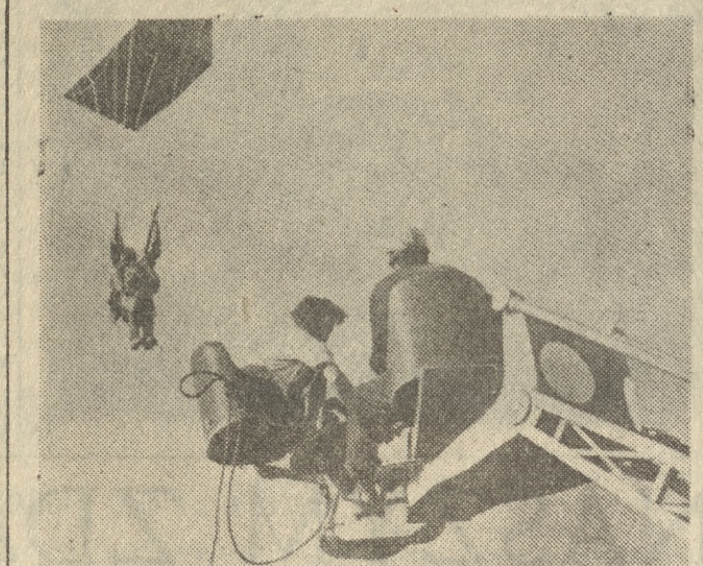
— Pić się chce — powiedział zachrypłym głosem. — Przecież. No, cóż, takie podróże!

— Pan pewno z nocnej zmiany, z fabryki — zagadnałem ze zrozumieniem.

Zaprzeczył ruchem głowy. — To już wiem. Chyba maszynista, po nocnych jazdach wraca pan do domu.

— Nie!

Nachylił się ku mnie całym ciałem: — Widzi pan, z teściem popiliśmy zdrowo całą noc i dzisiaj mam cholernego kaca!



Zdjęcie robocze z filmu radzieckiego „Gwiazdy na skrzydłach”

FILM * FILM * FILM Jak mówią bohaterowie hollywoodzkich filmów

Amerykański autor dialogów Harry Purvis ogłosił listę dialogów do... wszystkich filmów, celem „przyjęcia z pomocą młodym scenarzystom, którzy nie wiedzą co się publiczności podobają”. Lista jest pełna gryzącej ironii w stosunku do masowych produktów Hollywood. Podajemy najciekawsze wyjątki:

Typowy dialog w filmie politycznym:

„Popenił pan ciężką omyłkę, panie Krundschmidt alias dr. Peabody, skoro pan nie potrafił postawić prostej diagnozy, że zabito denata dawką trucizny asfidiokalmidycznej...”

W filmie „afrykańskim”:

„Cholera, jesteśmy otoczeni czarnymi diabłami...”

W filmie z dzikiego zachodu: „Cholera, jesteśmy otoczeni czerwonymi diabłami...”

W filmie indyjskim:

„Cholera, jesteśmy otoczeni przez blade twarze...”

W filmie wojskowym:

„Melduję ochotników, sierżancie: Walcowski, Cohen, Jarkeson, O'Hara, Minelli, Schultz...”

„Cholera, co ja pocnę z tą Wieżą Babel!”

W najgorętszym momencie bitwy, główny bohater:

„Do licha, czy cały świat się teraz boi, czy ja sam się boję!”

W filmie „okropnościowym” główne „monstrum”:

„Przynaję, że nie lubię patrzeć na żywcem smażoną kobietę, ja też mam swoje uczucia..., no, do widzenia dziecko (pocałunek w czoło), muszę cię, niestety, pozostawić, bo dzieci nie zabijam!”

W innym miejscu:

„Niech pani się nie boi, tortura potrwa godzinę, a potem czeka panią ŻYCIE WIECZNE!”

W filmie „hawajskim”:

„Mały brązowy został duży jak biały tata... patrz biały tata pływać daleko, ty też pływać jak być duży...”

Tubylec do białego:

„Wielki bóg Muma Muma był zły, wielki bóg powiedział biały ma zmiatać stąd... Tak po wiedzieć wielki bóg!”

Film o tendencjach „społecznych”:

„Panie doktorze, błagam pana, niech pan przybędzie do żony, ona rodzi, zrobię dla pana wszystko, wyczyszczę panu bu ty, zamiętę pańskie salony, ale niech pan, błagam pana, zlituje się i przyjdzie...”

Film sentymentalny (w którym nigdy nie obywa się bez dziecka):

„Chcesz mi powiedzieć... to znaczy, ja mam się domyślić — że ty, że ja..., innymi słowy, że my..., och! Czyż być może...?”

Film muzyczny:

„Widzi pan, co się dzieje, panie Weyburn..., przewróca mi kasy, a pan powiedział, że Sally Bibron nie umie tańczyć!!!”

Filmy międzyplan: taro naukowe:

(Na Marsie):

„Na Boga, każdy z nich ma sześć ramion, ale tylko jedną rękę!”

Filmy awanturnicze:

„Mój panie, któregoś dni wróć jeszcze do Fortu Levaux — ale na czele armii. Daję panu na to słowo honoru!”

Filmy o biednej dziewczynie i szlachetnym mężu:

„Och wy, mężczyźni, znam tę piosenkę. Nauczylili mnie jej panowie od Park Lane do najnędźniejszego przedmieścia. — Wszyscy tacy sami...!”

NASZYM ZDANIEM

(Dokończenie ze str. 1)

czesności, poszukiwań środka wypowiedzi, oto co ludzi pasjonuje, co jest sprawą każdego z nas. Błędem zwolenników anarchicznej „lewicy” w malarstwie zaś jest, że do jednego worka usiłuje zapakować wszystkich swoich przeciwników. Metodą zwykłego okrzyku „Lapaj złodzieja!”.

Wmawiano bowiem redakcji publicznie, że jesteśmy za obrzydliwym dziewiętnastowiecznym naturalizmem, za kryptodyktaturą kapistów oraz postimpresjonistów „udrapowanych na rzekomy realizm socjalistyczny” — czy też odwrotnie „kapistów udrapowanych na... itd.”.

Nieprawda. Chcemy nowoczesnej sztuki. Jesteśmy za awangardowym charakterem

sztuki w ustroju socjalistycznym. Zgoda na to. Pod tym względem zwolennicy „nowoczesności za wszelką cenę” mogliby nawet w pewnym sensie znaleźć wśród nas sprzymierzeńców, którzy myślą podobnie — choć nie uważają abstrakcyjnie oderwanych od „życia w głębi” — „dysonansów”, „niespokojnych form” i „majaceń”, jako najlepszą drogę wiodącą do celu. Ba, uważają ją jako drogę wiodącą zgola w przepaść. Tu przecięż jest właśnie dyskusyjna krawędź.

Podobnie zresztą w innych dziedzinach twórczości. Już Jerzy Andrzejewski sformułował drukiem swoje poglądy w „Nowej Kulturze” — twierdząc, że

nowoczesnemu Czytelnikowi trudno dziś znieść konwencję XIX-wiecznej, takiej solidnej powieści, rozlewającej się na sześciu kartkach druku. An drzejewski powiadał, że pisać trzeba inaczej. Ogólnikowo zaś stwierdził, że trzeba pisać i krócej — czyli lapidarniej, i bardziej konkretnie, i bez zbitecznego gadulstwa. Nie dał jednak jakiejś pozytywnej receptury. Było to zalecenie poprzez negację. Nie zachęcał jednak do używania języka kishua-hili. Oczywiście, trzeba pisać po polsku. Zrozumiałym językiem. Tylko inaczej.

Ale jak? Oto problem dyskusyjny.

Szukajmy więc wszyscy razem.

Wielki rozgłos w świecie zyskało sobie mleczko pszczele, którym w ulu robotnice karmią tę larwę, jeśli chcą, aby z niej wyrosła królowa. Badania nad mleczkiem i przydatnością jego dla organizmu ludzkiego postępują z ogromną szybkością i we Francji mleczko znalazło się już w aptekach, sprzedawane bądź jako pastylki żyżniane doustnie, bądź w formie zastrzyków w fiolkach. Zapotrzebowanie aptek jest tak wielkie, że połowa pasiek francuskich przestawiła się już wyłącznie na produkcję mleczka.

Badaniem właściwości mleczka zajmuje się w Polsce inż. Leonard Weber w Wyższej Szkole Rolniczej we Wrocławiu. Prosiłamy go o wypowiedzenie się w tej sprawie. I oto co pisze wrocławski badacz:

Pierwsze doświadczenia nad laktacją krów, którym wprowadzono do organizmu mleczko pszczele przeprowadzał ubiegłego roku dr Borchert, prof. Uniwersytetu Humboldt'a w Berlinie. Zakład Hodowli Pszczół przy Katedrze Szczegółowej Hodowli Zwierząt Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu pod moim kierunkiem będzie tego roku przeprowadzał doświadczenia co do wpływu mleczka pszczelego na zwiększenie zawartości tłuszczu w mleku krowim.

Mleczko pszczele, wydzielane przez pszczoły-karmicielki i składane jako pokarm dla larw w mateczniku zaczyna być stosowane coraz szerzej w medycynie i przemyśle farmaceutycznym, wzbudzając coraz to większe zainteresowanie. Zwiększa ono kiedy stwierdzono skuteczność działania jego nie tylko na organizm pszczoły, lecz i zwierzęcy, a ostatnio i ludzki.

Jak dokonano tego odkrycia?

Otóż przyrodnicy, obserwując życie pszczoł, dziwni się faktowi, że tak pszczoła robotnica jak i matka pszczoła powstają z takiego samego jajeczka, takiego samego zarodka, a po rozwinięciu się jakżeż różni się matka od robotnicy tak pod względem wielkości ciała jak i różnic anatomicznych i biologicznych. Najwięcej zadziwiającym jest fakt, że matka żyje 40 razy dłużej od robotnicy!

Dalej stwierdzono, że larwa mateczna przez cały okres larwalny, trwający około 6 dni, jest karmiona mleczkiem, natomiast larwa pszczoły robotniczej odżywia się nim tylko przez dwa i pół dnia, a następnie karmicielki dodają jej do pokarmu miodu i pyłku kwiatowego (tzw. „papkę”).

A więc tylko sposób odżywiania wpływa na zróżnicowanie się tych pszczelich osobników.

Dowodem tego jest fakt, że gdy matka zginie, wówczas pszczoły, chcąc ratować rodzinę przed osieroceniem, zakładają mateczniki na larwach pszczelich, nie starszych ponad 2 dni, znajdujących się w zwykłych komórkach, przeznaczonych na robotnice. Ale

Imię — które zobowiązuje

(CIAŁ DALSZY ZE STR. 1)

szybną nazwę w pełni w przyszłości zasłuży. Jako wzór do naśladowania posłużą nam inne chlubnie się rozwijające uniwersytety, noszące w swych nazwach nazwiska poetów, jak np. Uniwersytet im. Fryderyka Schillera w Jenie, lub Uniwersytet im. Tarasa Szewczenki w Kijowie.

MOŻE PAN REKTOR WSPOMNI O TRADYCIACH MICKIEWICZOWSKICH NA NASZEJ UCZELNI.

Uczelnia nasza posiada już pewne, jakkolwiek skromne jeszcze tradycje mickiewiczowskie w postaci badań nad twórczością poetycką Wieszcza, prowadzoną przez prof. Stanisława Pigonia. Wskutek odejścia z Uczelni tego uczonnego, działalność w tym kierunku uległa niestety przerwie. Mamy niepiękną nadzieję, że osobowość i twórczość A. Mickiewicza stanie się w przyszłości jednym z głównych zadań naukowych naszych katedr literatury.

Powiązania z kulem A. Mickiewicza mają jednak szerszy zasięg całe życie i działalność A. Mickiewicza rozwijały się właściwie na terenach niepo-

Sensacyjne odkrycie

MLECZKO PSZCZELE „eliksirem życia“

dzięki temu, że larwy żywione są nadal samym mleczkiem, bez dodatku pyłku i miodu, wykształcają się w matki.

Wiadomości o zaletach terapeutycznych mleczka pszczelego rozeszły się szybko, bo właściwie w ciągu ostatniego roku, po całym świecie, a szeregi instytutów naukowych rozpoczęło badanie nad leczniczymi właściwościami mleczka.

We Francji ukazała się książka pt. „Pszczół źródłem młodości i vitalności“, której autorem jest dr Alin Caillas z Orleanu. W książce tej autor podaje swoje obserwacje, dowodząc, że mleczko pszczele przyczynia się do poprawy samopoczucia i w pewnym sensie regeneruje organizm. Czyli on doświadczenia nad starymi kurami, które po zastrzyknięciu im mleczka wznowiły składanie jaj. W innym miejscu autor podaje, że mleczko przyczynia się do poprawy osłabionego organizmu ludzkiego (zaburzenia nerwowe, choroba Parkinsona itp.).

Po dokładnym przeanalizowaniu mleczka pszczelego stwierdzono, że znajduje się w nim bardzo dużo witaminy B, a zwłaszcza takich jej składników, jak kwas pantotenowy, ryboflawina, pirydoksyna, niacyna, biotyna i inne i to w asocjacji, jakiej nie znajduje się w żadnej poznanej dotychczas substancji na świecie. Zwiększa kwas pantotenowy o niezwykle stężeniu jest tym czynnikiem witaminowym B, który wpływa decydująco na vitalność żywego organizmu.

Coraz częściej zaczęto stosować mleczko pszczele w leczeniu w związku z badaniami dr. Niehansa, chirurga szwajcarskiego, przenoszącego doświadczenia nad hormonami. Jest on autorem teorii o tzw. „terapii komórkowej“, wedle której wstrzyknięcie komórek żywych do organizmu powoduje reaktywowanie działalności gruczołów. Dr Niehans stwierdził, że mleczko pszczele, podawane do organizmu drogą doustną, wykazuje te same właściwości.

Tenże badacz na Kongresie Lekarskim w roku 1953 w Karlsruhe zreferował wyniki kilku przeprowadzonych doświadczeń, w których mleczko pszczele w widoczny sposób zmniejszało u jego pacjentów dolegliwości w zaburzeniach nerwowych i gruczołowych.

Obecnie kontynuowane są doświadczenia z mleczkiem pszczelim w niektórych zakładach i instytutach naukowych, jak: Columbia University, Cornell University, Instytut Badania Raka w Miami (Floryda), gdzie stosuje się metody badawcze cytologiczne oraz przeprowadza analizy cytochemiczne za pośrednictwem mikrospektrofo-

skich, względnie zagranic. Wielkopolska była jednym z renowym etnograficznie polskim, gdzie A. Mickiewicz zatrzymał się czas dłuższy. Tutaj współdziałał w akcji nie sienia pomocy powstaniu w roku 1831. Tutaj pozostawił swego brata Franciszka Mickiewicza. Niezależnie od tego pozostawał w bliskim kontakcie z konspiracją poznańską, działającą zagranicą. Szereg Wielkopolan było towarzyszami Adama Mickiewicza w ostatnim okresie jego życia na Wschodzie.

Toteż zrozumiałe jest, że pierwszym pomnikiem Wieszcza na ziemiach polskich był właśnie pomnik w Poznaniu. Zniszczony przez okupanta — zostanie w Poznaniu niebawem w innym wykonaniu znów wznieśli. Drugim pomnikiem, żywym, jest w obecnej nazwie nasz Uniwersytet. Nasuwa się pytanie, czy nie byłoby słuszne, by pomnik właściwy, jako twór sztuki, stanął w bliskim sąsiedztwie naszej Alma Mater. Bardzo serdecznie o takie rozwiązanie prosimy.

Rozmawiał
Czesław MICHNIAK

Inż. L. Weber

pracownik
naukowy WSR
we Wrocławiu

tomietru. Instytut Badania Raka w Nowym Jorku (Sloan Kettering Institute) prowadzi badania nad zawartością w mleczku pszczelim kwasu dezoksyrybonukleinowego, uważanego za hamulec w rozwoju raka.

Dr Gardner, znany w świecie biolog odkrył, że mleczko pszczele jest czynnikiem, wpływającym na długowieczność. Stwierdził on to na muszce drozofili, do której pokarmu dodawał mleczka. Spowodowało ono przedłużenie jej życia o 46%.

WYPRAWY NA SZCZYT HIMALAJÓW i ich naukowa wartość

Na temat wspinaczek wysokogórskich i osiągniętych wyników pisało się już wiele. Mało natomiast starano się informować szeroką opinię publiczną o naukowej wartości owych niebezpiecznych, a przy tym bardzo kosztownych wypraw. Stąd stawiane bywają niekiedy pytania, czy warto są zachodu tego rodzaju mordercze ekspedycje. Zwążywszy przy tym, że podczas zdobywania jednego tylko szczytu himalajskiego Nanga Parbat zginęło do tej pory 31 alpinistów, naukowców oraz tragarzy. A jednak wszystko co przyniosły ze sobą owe wyprawy, przedstawia zarówno dla nauki jak i dla następnych ekspedycji ogromną wartość.

W ostatnich latach daje się zauważyć wzmocnienie podjęto wypraw górskich, szczególnie na gigantyczne masywy leżące w sercu Azji. Wiele narodowości szturmują pański „dach świata“, góry Karakorum oraz potężne wierzchołki Himalajów. Między innymi ostatnimi doliczono się do 200 do 300 szczytów siedmiotysięczych oraz 14 najwyższych, sięgających ponad osiem tysięcy metrów.

WSPÓŁPRACA ALPINISTÓW I NAUKOWCÓW

W latach dwudziestych i trzydziestych naszego wieku, każda większa ekspedycja wysokogórska obejmowała nie tylko alpinistów, lecz również duży sztab naukowców, którzy sporządzali mapy, badali góry pod względem geologicznym i morfologicznym. Ostatnie lata przyniosły ze sobą poważne ograniczenie ilości personelu naukowego w składach ekip, a to wskutek związanych z tym wysokich kosztów. Nawet słynna ekspedycja brytyjska na Mount Everest w roku 1953, ograniczyła się do zabrania ze sobą jednego tylko fizjologa, który zajął się obserwacjami nad wpływem warunków wysokogórskich na organizm ludzki. Do tej pory bowiem panowało ogólne przekonanie, że począwszy od wysokości 7800 metrów, człowiek nie jest więcej zdolny do życia. Temu twierdzeniu za-

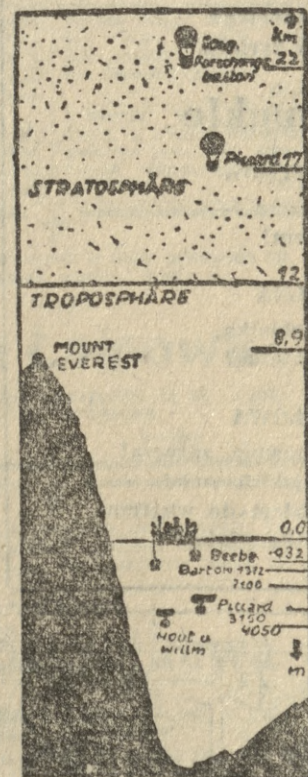
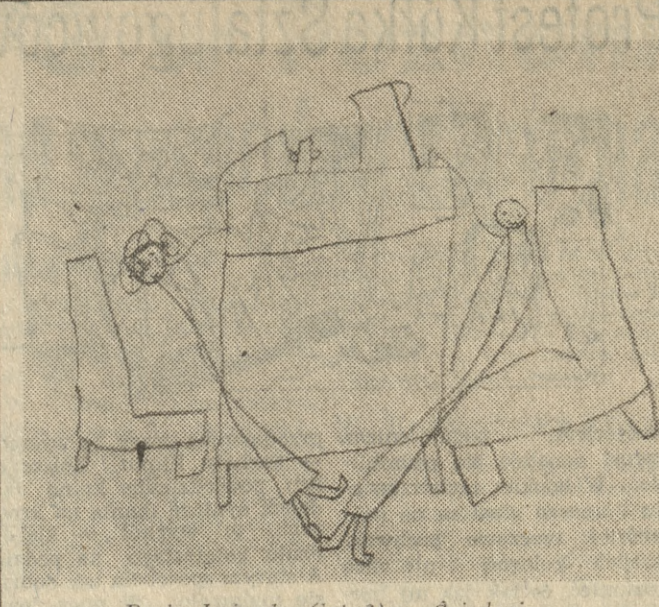


Tabela wypraw stratosferycznych i górnolotowych.



Daria Jezierska (lat 3) — Śniadanie

PIOTRUŚ i DARIA RYSUJĄ

„Śniadanie“ — taki tytuł dała 3-letnia Daria Jezierska swojej pracy, którą oto reprodukcję. Brzujące, zobaczcie kompozycję — zdradza wprost zdumiewającą dojrzałość; mówiliśmy dużo o tej ekspozycji ale i nie tylko o tej.

W salonie ZPAP, gdzie urządzono wystawę dzieł paryżskich artystów — malarzy odbyła się pod przewodnictwem prof. Karzyńskiego dyskusja nad wystawionymi pracami. Niektóre ekspozycje, jak właśnie malutkiej Jezierskiej, były przedmiotem żywej wymiany zdań, przy tym w wypadku „naszego brzdąca“ szczególnie podkreślono niezwykły talent.

4-letni Piotruś Michałowski natomiast wystawił dwie swoje prace, z których jedną reprodukcję dla kontrastu; nie żeby odmówić im wartości, wcale nie. Widzimy tu jednak inne „podejście“ do tematu. Bardzo jeszcze nieprawdą ręką nie umie prowadzić kreski, widząc jednak, że Piotruś myśli. Tak jest: myśli: jego „Górnicy“ świadczą o tym, że Piotruś skojarzył sobie bryłę węgla, z niezgodnością anatomiczną.

A przecież, Piotrusiu, rysuj, rysuj; z czasem będziesz w zgodzie z anatomią.

M. J.

(tln)



Piotr Michałowski (lat 4) — Górnicy

Przewrót w moim domu

Przeczytałam nową książkę Ireny Gumowskiej — „My i nasz dom“. Na ogół dobre książki wprowadzają w dobry nastrój. Mnie dobra książka Gumowskiej wprowadziła w przygnębienie. No, bo pomyślecie: przez lata całe uchodziłam za dobrą gospodynię i sama się za taką uważałam; byłam przedmiotem zawiści niejednej żony, które ma dopuścić się niezręczności powołania się na mnie jako na wzór kobiety gospodarniej. I oto po lekcji, którą w swej książce dała mi Irena Gumowska, pokazując, jak wyglądać powinno racjonalne gospodarstwo, jak powinien być zorganizowany „dom“ — z przykrością, ale uczciwie i samokrytycznie musiałam przyznać: daleko mi do dobrej gospodyni.

Ot, taki na przykład drobiaz: jak sprzątać? Najświeższej przekonaną, że postępuję właśnie dobrze, zamiatając podłogi przy otwartym oknie. Okazuje się jednak, że należy zamiatać przy otwartych drzwiach zamkniętych, by, jak uczy (i chyba ma rację) Gumowska — przeciąg nie rozosił kurzu.

Albo sprawa: jak organizować sobie pracę gospodarską w domu, żeby się nie męczyło? Irena Gumowska daje szereg mądrych wskazówek. A więc trzeba — jeśli już stać, to stać prosto, nie garbić się; gdy to jednak jest możliwe — siedzieć; ustawiać przedmioty w „zasięgu ręki“; dbać o odpowiednią do swego wzrostu wysokość stołu, zmywaka, deski do prasowania; do zmiatania śmieci używać śmietniczki i szczotki o wysokich uchwytych, tak by ograniczyć konieczność schylania się itd. itd.

Łatwo rozumieć moje przerażenie, gdy na książkę Gumowskiej zastałam... mojego męża. A zatem wszystko przepadło... runął mój autorytet dobrej gospodyni. Nie uratują go żadne moje gospodarskie talenty: ani sernik, od którego jestem podobno specjalistką, ani świąteczny karp faszerowany, który podbił najbardziej wybredne podniebienia w rodzinie, ani nawet mój kunszt doskonałego produkcyjnego domowego przemysłu o-dzieżowego.

Z niepokojem oczekiwałam efektów tej niecodziennej mężowskiej

lektury. Spodziewałam się ciekawych aluzji, żartków, spodziewałam się mentorskich nauk. Ale efekt był zupełnie nieoczekiwany. Układając młodszą dziewczynę do snu, pochwyciłam dochodzący mnie z sąsiedniego pokoju strzęp rozmowy mojego męża z naszą 10-letnią córką: „Mamus! jest ciężko, trzeba jej pomóc“. Nadstawiłam ucha (wiem — to brzdęk): „Pamiętaj — każdy swoje rzeczy odkłada na miejsce“. A oto intensywny szepot mojej córki: „Ja będę zawsze sprzątać po sobie w łazience...“

A następnego dnia, wróciwszy z pracy, zastałam naszego „domowego“ stolarza, głowiącego się wspólnie z moim mężem nad tym, jak tu wmontować w ścianę przedpokój... szafkę do obuwia. Pomyślałam, ale już bez przygnębienia: aha, jeszcze jedno „dzieło“ Gumowskiej! Jakże wdzięczna jestem autorce, że nareszcie znalazła się w moim domu „rada na obuwie“.

I w ogóle w domu moim zaczął się okres innowacji. W łazience znalazł się nowy wieszak na ręczniki, który córka moja — również po uszy zaangażowana w lekturę „My i nasz dom“ — zaopatrzyła w inicjały wszystkich członków rodziny. Nie ma już pretensji: „Nie wiem, który ręcznik jest mój“ albo „znów ktoś używał mego ręcznika“. Teraz każdy ma swój ręcznik na swoim miejscu.

Książka Ireny Gumowskiej „Żyję w moim domu“ niecałe dwa tygodnie, a zdążyła się stać niezbędną. Leży na widocznym miejscu, tak aby zawsze była „pod ręką“, nazywamy ją „domowym pogotowiem“. I tę rolę spełnia — we wszystkich sprawach dotyczących porządku, wygody i estetyki naszego domu.

Aha, jeszcze jeden efekt tej lektury: niniejszy felieton został „popelniony“ zamiast zamówionego przez redakcję artykułu na tematy zasadnicze. Trudno — „nawaliłam“.

FEMA

P. S. Wszystkich, którzy chcą zaopatrzyć się również w to „pogotowie domowe“, a warto — informuje: Irena Gumowska, „My i nasz dom“. Wyd. „Wiedza Po- wszechna“, Warszawa, 1955 r. Str. 356, cena zł 10.50.

Redaktorze!

To gorszące widowisko musi się skończyć. Oddaliście swoje szpalty różnego rodzaju profanom, którzy o sztuce nie mają pojęcia, a zabierają głos, dają wyraz swoim upodobaniom, chwalą lub ganią. I to kto? Ludzie, którzy nie odróżniają zieleni pruskiej od błękitu paryskiego! Wszyscy oni jakby się uwzieli, zaczęli nagle interesować się naszym malarstwem. Owszem, nie mam nic przeciwko temu. Ale jedyną właściwą formą tego zainteresowania ze strony laików winno być kupowanie naszych obrazów. Tymczasem nikt ich nie kupuje. Sam — mimo dużych osiągnięć — mam moc kłopotów, gdzie upchnąć swoje 24 płótna z ostatnich pięciu lat. Już nawet pod koniec grudnia nie chcą brać do świetlic. Mimo że tematy przepisowe: zbiórka harcerska, wiosna w PGR, szybkościowe skrawanie itp. A wykonanie — jak należy: naturalistyczne z pesymistycznym smaczkiem w kolorze. Więc wszystko w porządku i czemu przestają brać?

Wiem, rozumiem, przejściowe zniechęcenie. Ja sam, przyznam się, do żadnej ze swoich prac dobrowolnie bez potrzeby nie zajrzę. Już my byśmy ich przetrzymali! Skoro jednak pozwala się na publiczne podburzanie przeciw naszej sztuce, sytuacja staje się dla nas nad wyraz krytyczna. M. in. dzięki waszej nieodpowiedzialnej robocie doszło do tego, że na dyskusję w naszym Salonie zaczynają przychodzić całe tłumy zupełnie przeciętnych ludzi. A przecież nie o to nam chodzi. W dodatku dyskutują oni w sposób niegodny prawdziwej kontemplacji o sztuce absolutnie niedopuszczalny. Mówią z jakimś

przejęciem, podnieceniem, wprost zapalają się chorobliwie. W laickim zacietrzewieniu i uporze głusi są na najbardziej rzeczowe pochwały naszych kolegów i nie chcą zrozumieć, że tak jak my malować z jednej strony trzeba, a z drugiej — no cóż — tak się maluje najłatwiej.

To tyle lat było dobrze, a teraz mamy uczyć się od nowa? I to dlatego, że kilku nieodpowiedzialnych plastyków ma niespokojne umysły i świeżące ręce? Ja wiem co odpowiem. Ze, jak dotąd większość głosów była przeciw ich denerwującym zagadkom. Ale przecież tu chodzi o coś więcej. Zarówno ci ZA jak i PRZECIW są zgodni co do jednego: mają dość obrazów podobnych moim. I to jest zdradliwe, ta baza, z której wyrasta owa chęć uczestniczenia w różnych dyskusjach, ta zgubna żądza poszukiwań, to niesmaczne patrzeć twórcy na ręce.

Więc po to rozwijałem tyle lat swój skromny, ale jakże wdzięczny warsztat, aby teraz uczyć się od Picassa, Légera, Braque'a? Zresztą czy sądzicie, że to tak łatwo się od nich nauczyć skrótu i syntezy? Próbowałem po cichu — nic nie wychodzi. Jak „skróciłem“ jednego postawnego

przodownika pracy, to wyszedł — garbaty liliput. Zniszczyłem, powiedzieliby kpina. Jak dałem syntezę tkania na krosnach, to wypadł — kłębek drutu kolczastego na pedale. A starym sposobem tak dobrze się malowało! W nocy, lewą ręką, z zamkniętymi oczami mogłem wymalować całe prezydium na zebraniu rady zakładowej i wszystkie twarze przepisowe, takie stęzałe w szarozielonym sosie.

Zostawcie sztukę ludziom sztuki! Albo, jak już się uwzieliście, weźcie się za literaturę, teatr, ja wiem, może za taniec? Szczególnym niesmakiem napawa każdego zrównoważonego człowieka fakt, że drukujecie głosy z wolenników w naszej poznańskiej szarlatanerii plastycznej. W jakim celu ludzie ci chcą nas niepokoić swoimi zagadkowymi bohomażami? Po co drażnią wariackimi zestawieniami? Dlaczego malują coś, czego nikt nie widzi? To nieprawda, że są to nowe spojrzenia na świat. Patrzą i nie takiego nie widzę! A mnie można wierzyć, ja już rozprowadziłem 36 obrazów i wszystkim jak należy — tyle, że na początku robiło się nie szarzielone, ale takie więcej lila niebieskie.

Nie potrzeba nam żadnych niewiadomych, ani w sztuce ani gdzie indziej, żadnych skrótów i syntez!

Redaktorze! Pozwólcie, że na zakończenie zacytuję strofę wiersza wielkiego poety pt. „Mieszkańcy“.

Sprawdzą godzinę, sprawdzą kieszenie, krawacik musną, kłapy obciągną i godnym krokiem z mieszkaniem na ziemię taką wiadomą, taką okrągłą

A więc — wiadomą i okrągłą, czyli ograniczoną!

I dalej:

A oto idą zapięci ściśle, patrzą na lewo, patrzą na prawo

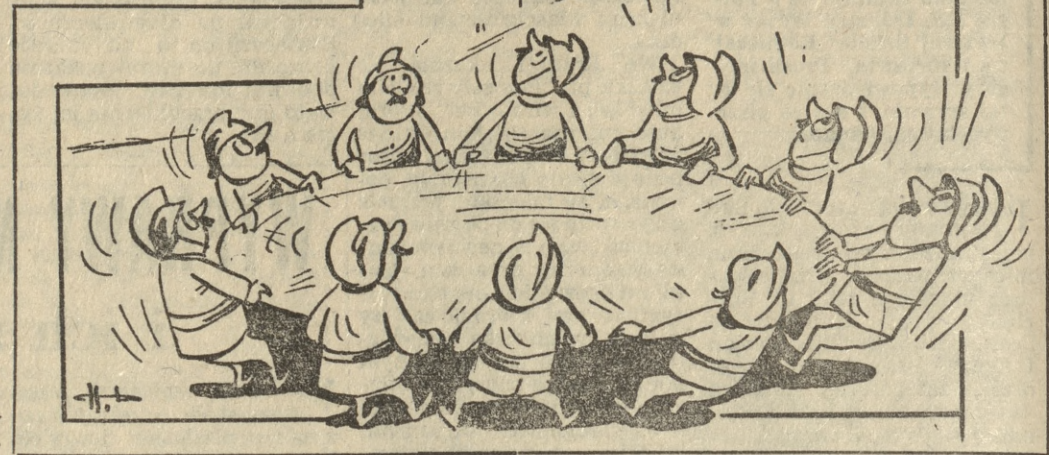
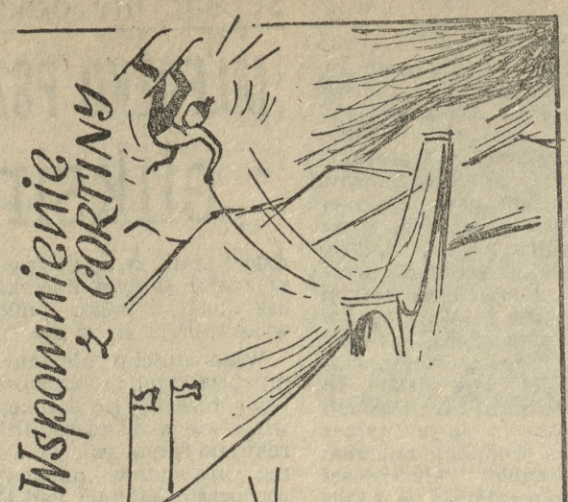
a patrząc widzą wszystko oddzielnie..

A więc nie skróty, nie syn-tezy!

Starosław PĘDZELKIEWICZ sekretarz Kółka Sztalugowców „BEZIKON“

P. S. Felieton Scisłowskiego i Konopińskiego pt. „2B-R“ udał się im znakomicie, zaśmiewaliśmy się do łez. Potrzeba nam więcej takiej właśnie satyry!

*) „BEZIKON“ — BEZtalencie i KONiunktura.



Julian Mikołajczak

GRY i ZABAWY

Niedawno uczestniczyłem służbowo w pewnej uroczystości z udziałem orkiestry, bufetu, kilkuset metrów serpentyn oraz okazałej ilości czarnych męskich muszek. Dawniej — o ile się nie mylę — nazywano taką imprezę zabawą taneczną. Dwugodzinna wnikliwa analiza nastroju całego towarzystwa doprowadziła mnie do odkrycia jednej prawdy: program zabaw jest za mało urozmaicony. Cóż z tego, że orkiestra, realizując odgórne wytyczne, gra foxtrotta za sambą! Cóż z tego, że dekollet niejednej z pań, jeśli chodzi o zasięg, daje posłuch Adamowemu wezwaniu „Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga!“ Cóż z tego wreszcie, że wiele hektolitrów materiałów pędnych przelewa się z kielichów do gardzieli na zasadzie fizycznego prawa naczyń połączonych. Wszystko to — powiadam — może znudzić uczestników po dwóch godzinach. A co robić dalej?

I tu chciałbym rzucić pewną myśl. Ja rzucę, inni niech podniosą. Sądzę, że wprowadzenie

do programu balów różnych gier i zabaw gromadnych mogłoby sytuację na tym odcinku znacznie poprawić. Uwaga, instruktorzy k-o. Podajemy poniżej projekty kilku gier ruchomych do wyboru. Szczegóły interpretacji zależne są — rzecz jasna — od warunków lokalnych.

Bieg dla rozgrzewki

Biorący udział w zabawie siadają na paru krzesłach, rzędami, jak w teatrze. Przez długi czas wszyscy mają skupione i uduchowione twarze. Oczy pełne rozmarzenia. Niektóre pary trzymają się dyskretnie za rękę. Żaden szmer nie mąci uroczystej ciszy.

W nieoczekiwanej przez nikogo chwili prowadzący grę wypowiada głośno słowa: „Koniec ostatniej części koncertu e-moll Chopina“. Na ten znak wszyscy tracą momentalnie uduchowione twarze, wstają z trzaskiem i potrząsając stojące krzesła kłusują w stronę wyjścia. Wygrywa ten, kto pierwszy dotrze do szatni.

Jest to tzw. „zabawa w koncert symfoniczny“.

Gimnastyka stosowana

Wyszukujemy wysokiego mężczyznę, którego stawiamy na środku pokoju lub sali. Wokół niego stoją kołem inni uczestnicy zabawy. Mężczyzna w środku podnosi lewą rękę w górę, ten sam ruch powtarzają zebrani. Zgina prawe kolano, inni czynią to również. Kiwa małym palcem w bucie, reszta też kiwa. Marszczy brew, inni również marszczą, uważając by była to ta sama brew. Stojący w środku kładzie sobie w ucho kawałek tortu, inni czynią to samo, wreszcie przyklęka i wymiotuje, reszta towarzysztwa wiernie odtwarza tę czynność.

Zabawa trwać może długo, w zależności od inwencji prowadzącego i ilości ruchów, które się naśladuje.

Jest to gra zwana „posiedzenie kolegium“ albo „uczmy się podkładać“.

Zabawa w świętoszka

Pod ścianą sali co parę kroków ustawiamy po dwa krzesła. Na krzesłkach tych sadzimy młode pary, które pragną wziąć udział w zabawie. Gra polega na tym, że młodzi ludzie opowiadają sobie po cichu najbardziej nieprzyzwoite dowcipy, a nawet całują się i wykonują szereg innych ge-

stów. Rzecz w tym, aby robić to jak najciszej, niepostrzeżenie. Prowadzący zabawę pilnie słucha i patrzy. Jeśli usłyszy choć strzępek rozmowy lub zauważy podejrzaną ruchy, właściwa para zostaje publicznie potępiona za niemoralność. Dopóki pary robią te rzeczy po cichu, wszystko jest w porządku.

Jest to tzw. zabawa w „Achillesa“ czyli „Podwójna buchalteria“.

Gra pretensjonalna

Kilkadziesiąt osób stawiamy na środku sali i każemy im cierpliwie czekać w nadziei otrzymania czegoś miłego. Po chwili prowadzący zabawę odczytuje sześć nazwisk osób, którym następnie ofiarowuje po jednej mlecznej czekoladzie E. Wedla. Momentalnie reszta gromady odwraca się, nie patrząc na wybranych i czuje się śmiertelnie obrażona na okres co najmniej jednego roku.

Ta niedawno rozpowszechniona gra zwana „Laureatką“ może wywołać zainteresowanie w każdym towarzystwie.

Próba cierpliwości

Prosimy jednego z mężczyzn o zacięciu aktorskim, przeprowadzamy wśród całego towarzystwa dobrowolną zbiórke (najmniejszy datok 9 zł), wreczamy wybranemu odpowiednią sumę i czekamy co powie. Występujący opowiada bardzo dobrą anegdotę sprzed 6 lat, później przedstawia dowcipną historijkę sprzed 4 lat, wreszcie prezentuje publiczności b. interesujący monolog sprzed 3 lat. W miarę skracania wieku tekstów, robi się coraz później tak, że na najnowsze rzeczy brak już czasu.

Tytuł tej popularnej gry towarzyskiej: „Występy Pawłowskiego i Sp. w Poznaniu“.

Gra koleżeńska

Do tej gry potrzebny jest stół i krzesło. Udział biorą dwie osoby. Jedna siedzi na stole, druga na krześle. Siedzący wyżej pyta siedzącego niżej.

— Jaki kolor ma podłoga, na której trzymasz nogi?

— Szary.

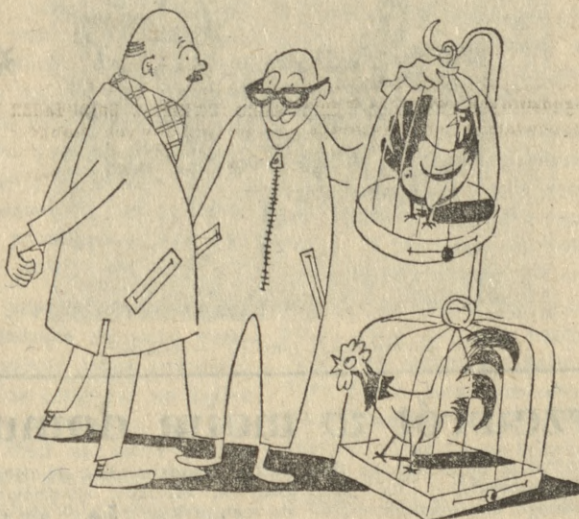
— Nieprawda. W 11 roku Polski Ludowej nie ma szarych podłóg. Podłogi są wesołe.

— Kiedy wyraźnie widzę, że jest szara

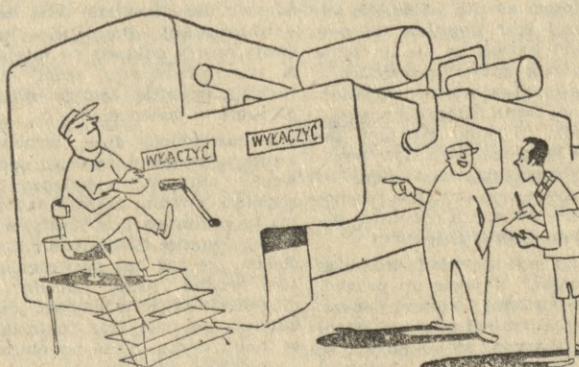
— Oho, mam cię. A więc widzisz tylko to, co chcesz widzieć. Nie ma dymu bez ognia. Czyżbyś miał zamiar wkrótce wyprawić „realizmowi“ stypę?

Zabawa może nosić nazwę „Dyskusja z expressjonistami“.

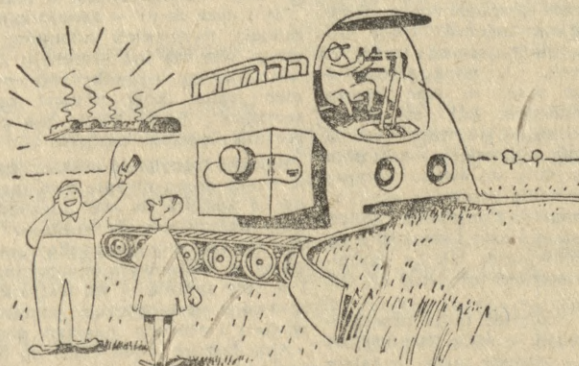
W roku dwutysięcznym...



— Od czasu, gdy wyprodukowaliśmy syntetyczne jaja kurze, sprzedajemy kury jako ptaki ozdobne.



— W naszej fabryce ten właśnie jest najważniejszy.



— Ten najnowszy typ kombajnu orze, bronuje, nawozi, sieje, kosi, młóci, miele i przy okazji wypieka świeżutkie chlebki. Świetne, co?!!

